



monika
Piątkowska
|
krakowska
żałoba



Artur Baniewicz Góra Trzech Szkieletów



Artur Baniewicz Drzymalski przeciw
Rzeczpospolitej

Anna Bojarska List otwarty do królowej
Wiktorii

Anna Bojarska Ja

Anna Bojarska Bóg pali cygara



Anna Bolecka Concerto d'amore

Max Cegielski Apokalipso

Mariusz Cieślik Śmieszni kochankowie

Witold Horwath Seans



Witold Horwath Ultra Montana

Grażyna Jagielska Korespondent

Marek Kochan Ballada o dobrym dresiarzu

Krystyna Kofta Krótka historia Iwony Tramp

Tobiasz W. Lipny Barocco

Marek Ławrynowicz Pogoda dla wszystkich

Zygmunt Miłoszewski Domofon

Tomasz Mirkowicz Pielgrzymka do Ziemi
Świętej Egiptu



Hanna Samson Pułapka na motyla

Jerzy Sosnowski Apokryf Aglai

Jerzy Sosnowski Linia nocna

Marcin Wolski Alterland

Marcin Wolski Ekspiacja



Marcin Wolski Miejsce dla dwojga

Piotr Zaremba Plama na suficie



monika

Piątkowska

krakowska
żałoba

Rozdział 1

I stało się. W pokoju panował półmrok, ale nawet słabe światło poranka, wpadające przez okno i odbite w lustrze szafy, pozwalało ocenić rozmiary tragedii: Maurycy Opiłko zmarł, nie doczekawszy świtu, u progu swych siedemdziesiątych trzecich urodzin, o dziesięć lat wcześniej, niż to sobie wyobrażał, zupełnie sam i do końca świadom zemsty, którą już zapowiedziano.

Urszula potrzebowała dobrej chwili, by ogarnąć sytuację. Przybiegła, gubiąc kaptcie i zapominając o okularach, przestraszona nagłą ciszą i pełna złych przeczuć, ale gotowa na koniec dać się zwieść nadziei.

Wszystko było tak jak zawsze. Na brzegu łóżka, wciąż otwarta, leżała *Lalka* Bolesława Prusa, powieść, do której mąż wrócił ostatnio, by na nowo dodawać ducha Stanisławowi Wokulskiemu, bo w jego losie widział swój własny. Przy łóżku stała, jak co dzień, filiżanka z niedopitą poprzedniego wieczora herbatą, a nieco dalej Urszula dostrzegła wczorajszą popołudniówkę, już przeczytaną i pokreśloną, Maurycy bowiem starym zwyczajem obwodził w ramki te artykuły, które uznał za szczególnie interesujące. Odnalazła w półmroku rękę męża. Była tak ciepła, że w pierwszym odruchu Urszula chciała wyjść i nie budzić go niepotrzebnie, a zapalając nocną lampkę, wciąż jeszcze szukała usprawiedliwienia innego niż zwykły strach.

Nie było to potrzebne. W świetle żarówki ujrzała sznureczek lez zaschniętych już na policzku męża, zamknięte na kłódkę powieki, zobaczyła skrzycone nienaturalnie ciało na zasikany prześcieradle, ale i tak zrozumiała, że serce męża nie bije, dopiero wtedy gdy na moment zamarło jej własne. Po pokoju tłukł się jeszcze krzyk, w którym nie rozpoznała swojego głosu, bo pełnię świadomości odzyskała dopiero wówczas, gdy mówiła: „Nigdy ci tego nie wybaczę”, choć dla postronnego obserwatora nie było jasne, czy złorzeczy mężowi, Bogu, czy też sobie samej, siedzącej na brzegu ich dawnego małżeńskiego łóża, obramowanej w lustrze.

Wiedziała, co mówi. Wiele lat wcześniej, gdy śmierć była jeszcze abstrakcją przydarzającą się innym, Maurycy zaś cieszył się iście kowalską krzepą, ustalili szczegóły swych ostatnich dni, i to z taką dokładnością, jakby mieli umrzeć naza jutrz. Maurycy osobiście wybrał ostatni strój, otwierając szafę i wskazując rzeczy palcem. Wyszukał na wieszaku odpowiedni garnitur, dobrał do niego koszulę i krawat, uzupełniając całość ulubionymi dodatkami: spinkami do koszuli w kształcie końskich łbów i przedwojenną jeszcze szpilką do krawata z prawdziwym rubinem. Zażyczył sobie, by do kieszeni włożyć mu brzytwę z drewnianą rączką, tę, którą samodzielnie golił pierwszego klienta, i jego pierwsze fryzjerskie nożyczki.

Nigdy nie pozbył się dziecięcego przekonania, że zmarłym jest po prostu zimno, i skompletowawszy wierzchni strój, poprosił małżonkę o dyskretną przysługę: niech dodatkowo także go ubrać w ciepłe kalesonki i bawełniany podkoszulek na zimę. Chciał również, by w nogach umieszczono mu podręcznik do nauki fryzjerstwa, którego był współautorem, a ponadto lekturę na długą drogę. Był to już czas, gdy przestał się wstydzić plebejskiego gustu i czytał do woli tylko to, co już znał i co go bawiło. Ostatecznie wybór padł na *Profesora Wilczura* Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, tego samego, którego przez całe lata nie doceniał, a z którym w ten osobliwy sposób chciał się teraz pogodzić.

Następnie określił los każdej z drogich mu pamiątek, rozdzielając je między żonę i jedynego syna Jerzyka, w takich proporcjach, by nikomu nie zabrakło krzesiwa do żałobnych świec pamięci. Odmienną przyszłość wybrał jedynie dla rękopisu swoich wspomnień, w owym czasie liczącego już blisko trzysta stron, za najodpowiedniejsze dla niego miejsce uznając zbiory Biblioteki Jagiellońskiej. Nie miał wątpliwości, że przed śmiercią zdoła rzecz zarówno ukończyć, jak i wydać, mniej – jak mówił – dla siebie, a bardziej dla anonimowych pokoleń, zwłaszcza zaś w hołdzie ukochanemu miastu. W głębi serca nie wierzył, by miasto, które przetrwało szesnaście oblężeń, trzydzieści sześć wybuchów zarazy, trzynaście katastrofalnych powodzi, dwadzieścia osiem wielodniowych pożarów i dwie plagi szarańczy, mogło przetrwać bez jego memuarów.

Pogodny nastrój tamtego wieczora łagodził znacznie charakter wydawanych dyspozycji, czyniąc je nawet groteskowymi, jednak ani Urszula, ani Maurycy nie mieli wątpliwości co do ich wagi. Maurycy przedstawiał jako pewnik fakt, że umrze pierwszy, a to dlatego mężczyźni żyją krócej, ponadto jest starszy od małżonki, i to o całą dekadę. W rzeczywistości skrycie wierzył, że Bóg w swym miłosierdziu pozwoli mu umrzeć razem z małżonką. Nie zdradził się przed Urszulą ani wtedy, ani nigdy później, zbyt bowiem bał się urazić żonę, ona zaś marzyła dokładnie o tym samym – by odejść razem z nim. Jakkolwiek by się stało, nie zamierzał niczego zostawiać przyпадkowi. Tak więc przede wszystkim nie chciał umrzeć w szpitalu. Po drugie – i być może najważniejsze – na pewno nie w samotności. Obejrzał pod lupą dziesiątki nazwisk ludzi, którzy przewinęli się przez jego życie, bądź to jedynie asystując, bądź odgrywając znaczącą rolę, ale po pierwszej selekcji, gdy odrzucił nie tylko przyjaciół w interesach, odwiecznych współpracowników, kolegów-brydżystów, a nawet żyjące jeszcze siostry, zostały mu raptem trzy imiona. Nie przypuszczał jednak, by Jahulec, od lat mieszkający w Argen-

tynie i sam starszy od niego o osiem lat, zdobył się na tak daleką podróż, i to w wieku, gdy prawdopodobnie sam będzie potrzebował niani, by obtarła mu brodę. Po namyśle wymazał też z listy syna, jedyną istotę, którą kochał nie za to, jaka jest, lecz dlatego, że w ogóle była – krew z jego krwi. Skreślił go z żalem, powodowany ojcowską miłością, w nadziei, że Jerzyk będzie go pamiętał takim, jakim był w rozkwicie swych lat, tak jak i on, Maurycy, nie przyznając się do tego, widział go wiecznym dzieckiem, w ubłoconym paltocie i z obitymi kolanami.

Ostatecznie na liście pozostało mu już tylko jedno jedyne imię, ale za to pewne – Urszula. Owego wieczora, gdy prosił ją, by trzymała go za rękę w tej ostatniej drodze, przyszła mu do głowy myśl, która kazała mu inaczej spojrzeć na własne małżeństwo i którą natychmiast podzielił się z Urszulą.

– Być może – powiedział – ludzie nie pobierają się, by wspólnie żyć, ale by mieć przy kim umrzeć.

I wtedy właśnie Urszula złożyła przyrzeczenie, z ręką po dziecięcemu na piersi, że będzie z nim w tej ostatniej minucie, ale dotrzymawszy tylu innych pomniejszych obietnic przez całe trzydzieści osiem ślubnych lat, ostatecznie w najważniejszym zawiodła.

Po części nie była to jej wina. Obydwoje wiedzieli, że zbliża się koniec. Urszula straciła nadzieję niespełna rok wcześniej, po ostatecznej diagnozie doktora Kawalca, który najpierw w medycznym żargonie, a potem bardziej przystępnymi słowami, podczas dyskretnej konsultacji wyjaśnił, że serce Maurycego umiera. Powołując się na naukę, wyznaczył datę śmierci na lato następnego roku, ale doświadczenie humanisty i pokora praktyka kazały mu zostawić furtkę dla cudu.

– Ludzie żyją tyle, ile potrafią – powiedział.

Maurycy odkrył prawdę dopiero tydzień przed śmiercią, w niecodziennych okolicznościach – na skutek proroczego snu. Zobaczył w nim matkę taką, jakiej nie znał i nie pamiętał, bo z czasów, gdy on sam się jeszcze nie narodził. Siedziała

na posłaniu w kuchni swoich państwa, w fartuszkach służącej, obierając jabłko prostym kozikiem z drewnianą rączką, krojąc coraz krótsze skórki, a potem podała mu owoc. Dopiero wówczas spostrzegł, że jego dłonie są dłońmi starca, on sam zaś mógłby być dziadkiem własnej matki, i jabłko potoczyło się po podłodze.

Obudził się przekonany, że wkrótce umrze, nie pamiętając snu, ale przepełniony uczuciem zażenowania. Nawet jednak wówczas nie zmienił swej decyzji sprzed dziesięciu lat, kiedy to pozostał w małżeńskiej sypialni, podczas gdy Urszula przeprowadziła się do pokoju syna, by wreszcie każde z nich mogło wysypiać się na swój sposób. Nie pozwolił, by spała z nim ani obok niego, choćby na fotelu. Ostatecznie stało na tym, że zgodził się sypiać z otwartymi drzwiami, by małżonka mogła słuchać jego oddechu, tak jak przed trzydziestoma laty nasłuchiwała oddechu dopiero co narodzonego syna.

W rezultacie Urszula nie spała porządnie ani jednej z ostatnich siedmiu nocy. Najpierw budziły ją ostatnie kroki na ulicy, potem zapóźnieni sąsiedzi, wracający nie wiadomo skąd. Słyszała kocie wrzaski w śmietniku na podwórku, pochrapywanie Maurycego i szelest jego kołdry, dalekie ujadanie psów, godziny odmierzane przez zegar, pierwsze tramwaje o świcie, stukot butelek z mlekiem i przekleństwa mleczarza, odpalane zbyt głośno samochody, wreszcie gdy ulica zaczynała żyć dziennym rytmem, budziła się przekonana, że nie zmrużyła oka. W noc śmierci Maurycego nie słyszała nic.

Poczucie winy było pierwszym uczuciem, jakiego doznała, siedząc przy zwłokach męża, i na dodatek tak silnym, że zaczęła mu robić wymówki, tak jakby wciąż był żywy. „Gdybyś mnie posłuchał, to jeszcze byś żył”.

Nim przyjechało wezwane przez nią pogotowie, pozwoliła śmierci rozgościć się na dobre. Zgarnęła z nakastlika lekarstwa męża, a zamiast nich ustawiła wazon z różami. Z najpiękniejszej oberwała płatek, by założyć nim te strony *Lalki*, które dla Maurycego okazały się ostatnimi, i zaniosiła książkę do

gabinetu, a zdjęcie męża, stojące dotąd na biurku – on na tle kiczowatego alpejskiego pejzażu – przeniosła na konsolę w przedpokoju. Potem zasłoniła wszystkie lustra, nawet to w łazience, zatrzymała zegar, ustawiła porządnie bambosze Maurycego, posprzątała bałagan przy jego łóżku i wygładziła koldrę. Na koniec zajęła się portretem ślubnym, wiszącym nad wezgłowiem. Balansując nad głową męża, z jedną nogą na nakastliku, a drugą na ramie łóżka, i wciąż jeszcze w nocnej koszuli, przybrała go żalobną aksamitką i po kilku poprawkach, gdy schodziła, by z odległości przyrzeć się portretowi, wreszcie uznała, że osiągnęła odpowiedni efekt.

Nie zastanawiała się nad tym, co robi. Ilekroć w ich małżeństwie zdarzały się chwile, gdy musieli stanąć twarzą w twarz z własnymi uczuciami, natychmiast wybierali drogę na skróty – umykali w mieszczańskie rytuały. W efekcie nie tylko uchodzili na parę doskonałą, ale i sami w głębi duszy za taką się uważali. Rok w rok od niepamiętnych czasów inaugurowali wiosną wycieczką do miejskiego zoo, po której wstępowali do którejś z kawiarni na rozgrzewającą herbatę, nigdy jednak nie przyszło im do głowy, czy naprawdę lubią te wyprawy. Urszula wołała się nie zastanawiać, czy zwierzęce klatki nie przypominają jej czegoś aż nadto dobrze znanego, małżeńskich kompromisów, Maurycy zaś nieodmiennie wracał na granicy smutku; uwięziony w klatce lew przypominał mu dzieciństwo, o którym on sam za wszelką cenę chciał zapomnieć. Oboje Opilkowie jednak nie wyobrażali sobie, by pierwsze dni wiosny mieli spędzić gdziekolwiek indziej.

Lekarz, który przyjechał pół godziny później w asyście sanitariusza, zastał Urszulę już we wdowiej zbroi: w czarnej sukni, zbyt grubej jak na tak upalny maj, z włosami upiętymi nad karkiem w kok, a jedyną ludzką rzeczą, jaką dostrzegł w owej upiornej pedanterii śmierci, była lampka koniaku w ręce kobiety.

Był młodym chłopakiem, w jasnych spodniach i kolorowej koszuli, wystającej spod białego fartucha, odrabiającym

pańszczyznę na marnej posadzie lekarza pogotowia, a mimo to widział już na własne oczy dość śmierci, by pojąć, że spokój tej kobiety nie pochodzi od Boga, i przerażony, zupełnie stracił głowę: nie ruszył się z progu.

Urszula Opilko spostrzegła jego zmieszanie, ale przypisała je niedoświadczeniu.

- To było nieuniknione, doktorze - powiedziała. - Proszę za mną.

Maurycy Opilko leżał twarzą do drzwi na małżeńskim łożu, które ledwo mieściło jego ciało atlety, z nastroszonymi pod sufit wąsami huzara i arystokratycznym nosem, po którym nikt nie domyśliłby się chłopskiego pochodzenia matki. Jedyłą rzeczą zdradzającą jego wiek były siwe włosy, bo nawet skóra zachowała zdrowy wygląd, i lekarz przyłapał się na myśli, iż dawno nie widział tak pięknego mężczyzny, po czym zrozumiał, że jej niestosowność, zaczerwił się po uszy.

Urszula Opilko przestała zwracać na niego uwagę.

- Zostawiam pana samego, doktorze, by zrobił pan to, co konieczne - powiedziała. - Nie chcę na to patrzeć.

Wróciła z tekturową teczką i kieliszkiem koniaku. Lekarz stał przy odsłoniętym oknie, w kwadracie wiosennego słońca przyglądając się cichej jeszcze o tej porze ulicy. Odmówił alkoholu.

- Przede mną jeszcze sześć godzin dyżuru - powiedział.

Urszula odstawiła kieliszek.

- Ja swój właśnie skończyłam.

Wręczyła mu tekturową teczkę z napisem „serce”, zawierającą kompletną dokumentację choroby męża, od pierwszych wskazań lekarskich sprzed dziesięciu lat, przez wyniki kolejnych badań, aż po karteczki z jej odręcznymi notatkami, sporządzanymi w tajemnicy przed mężem i stanowiącymi pełny dziennik jego choroby. Wyniki były tak oczywiste, że lekarz nie zdobył się nawet na staranniejszą lekturę.

- Mój Boże - powiedział - jego serce biło już chyba tylko z przyzwyczajenia.

Podczas gdy lekarz wypisywał akt zgonu, odparła:

– Raczej z niewiedzy. Niech pan, doktorze, nigdy nie mówią pacjentom, że umrą, to może dociągną do setki.

W tej samej chwili lekarz przestał dla niej istnieć.

Zanim słońce stanęło w zenicie, Urszula zawiadomiła zakład pogrzebowy, by zabrał zwłoki męża. Zamierzała pożegnać się z nim dopiero na cmentarzu, bowiem właśnie pogrzeb uważała za ostateczne rozstanie, i dlatego ciało Maurycego Opilki pojechało w przedostatnią podróż nieodprowadzone nawet jej spojrzeniem.

Drugi telefon, jaki następnie wykonała, był telefonem do syna. Usłyszawszy jednak w słuchawce jego żonę, skróciła rozmowę do niezbędnych informacji, prosząc tylko, by Jerzyk zadzwonił do niej wieczorem. Synowa zachowała zimną krew.

– Czy mamie czegoś potrzeba? – spytała.

– Niczego – odparła Urszula. – Wszystko co trzeba, pozałatwiam sama. Wy przyjeździe tylko na pogrzeb.

Kwadrans później, poleciwszy się boskiej opiece i starannie zamknąwszy drzwi, szła już rozprażoną ulicą, by o śmierci męża zawiadomić cały świat, tak jakby Maurycy sobie tego życzył.

Długo nie rozumiała, dlaczego jej mąż, będąc człowiekiem majątnym, nie zdecydował się na przeprowadzkę za rzekę, do elegantszej części miasta, pozostając do wojny w tej dzielnicy czynszówek, handlarzy, szulerów, paserów, szynków i bimbrowni, robotników i nędzarzy, co na jedno wychodziło, Żydów, których pospieszne kroki zamierały w sobotę, tak że bez nich ulice wydawały się puste. Niechętni Maurycemu zarzucali mu wyrachowanie, zamknięte w zdaniu: „Lepiej być pierwszym wśród ostatnich niż ostatnim wśród pierwszych”, utrzymując, że jego gwiazda mistrza fryzjerskiego, właściciela luksusowego zakładu i przyjaciela elit, nigdzie nie świeciłaby jaśniej.

I rzeczywiście. We wszystkich jatkach, sklepikach i kramach aż do ostatnich lat tytułowano go mecenasem, a to dla

jego niebywałej pamięci i dziwaczного upodobania do rubryk kryminalnych. Nałóg ten, zapoczątkowany w czasach, gdy sam o mało nie stał się ich bohaterem, po latach uczynił z niego chodzącą kronikę policyjną. Znał na pamięć setki spraw i jeszcze więcej nazwisk, wiele procesów widział na własne oczy, w tym najślynniejszy Rity Gorgonowej, przeniesiony do Krakowa w atmosferze skandalu i wspominany przez Maurycego zawsze z trwogą, bo sam należał do nielicznych, którzy wierzyli w świętą niewinność kobiety.

Jego zamięłowanie do policyjnych kronik z początku wywoływało popłoch w mniej praworządnych obywatelach dzielnicy – życzących sobie nade wszystko zapomnienia – póki się nie okazało, że Maurycy nie wykorzystuje swej wiedzy ani w celach towarzyskich, ani handlowych, ani żadnych innych.

Był dobroczyńcą pierwszego dzielnicowego gimnazjum, przekazując duże sumy na opłacenie stancji dla biedniejszych uczniów, i łaskawcą dla żebraków, czyhających na niego na podwórzu kamienicy, ale w interesach targował się jak chłop, zawsze jednak zachowując nienaganne maniery światowca.

Pierwszy rok małżeństwa upłynął Urszuli na kolekcjonowaniu legend, jakimi obrosło życie Maurycego, czyniąc z niego człowieka publicznego, tak że nawet jego jedwabna chińska bonżurka z czarną szarfą i wykładanym kołnierzem, w której co rano zasiadał do śniadania, bardziej już należała do pieśniarzy ulicy niż jego samego. I to do tego stopnia, że rok w rok, aż do wojny, w dniu jego imienin, dwudziestego pierwszego września, miejscowi murarze wyśpiewywali na podwórku przez siebie skomponowaną piosenkę, opiewającą urodę tej właśnie części garderoby, za którą to pieśń Maurycy płacił hojnie, złotówkę za każdą z dziesięciu zwrotek, poczynając od pierwszej: „Bonżurka, ach, bonżurka, z jedwabiu jest chińskiego, bonżurka, ach, bonżurka, czy jest coś wspanialszego”.

Urszula zaczęła namawiać Maurycego do przeprowadzki zaraz po ślubie. Nigdy nie powiedział „nie”, przez lata zwodząc

ją obietnicami i pozwalając, by snuła coraz śmielsze wizje, póki nie rozumiała, że on się z Podgórza nie wyprowadzi nigdy. Ale nie dlatego, jak chcieli złośliwi, że połasił się na tani splendor. Inaczej: tylko tu czuł się naprawdę u siebie, a do tego nie chciał się przyznać nawet przed żoną.

Jednymi z pierwszych odgłosów, jakie budziły Urszulę w piątkowe poranki w pierwszych latach ich małżeństwa, były makabryczne ryki ciągniętych na powrozach bydła, których wielki targ odbywał się ledwie kilkanaście metrów od ich mieszkania, na ryneczku przed kościołem św. Józefa. Poza bydłem sprzedawano tam również konie, drób, gołębie pocztowe, pijawki, lepy na muchy, drewniane zabawki, kłódki, łańcuchy, szmuglowane z Prus papierosy, bimber, a i nie raz zdarzyło się, że jakiś oszalały byk zerwał się z powroza i gnał ulicami, póki policjant nie położył go trupem strzałem z pistoletu.

Urszula wybrzydzała na targ, na piskliwy gwar i smrodek jak z wychodka, choć przyczyna owej niechęci była zupełnie inna i wciąż piekła ją wstydem. W pierwszym roku małżeństwa zdarzyło się bowiem, że poszła na targ po sprawunki i byłaby nawet wróciła urzeczona folklorem, gdyby nie fatalna przyгода przy kramie z jajami. Ledwie bowiem zaczęła wybierać co większe sztuki, przekupka zrugła ją, i to tak, że wszyscy słyszeli:

– Pani tak nie maca! – wykrzyknęła. – To nie męzowskie jaja.

Urszula uciekła do domu z płomieniem na twarzy i wyprawy nigdy już nie powtórzyła: bała się, że ktoś ją rozpozna. Maurycy przeciwnie: przepadał za targami i o ile mu czas pozwalał, bywał na nich regularnym gościem, często kupując coś, co nie było mu potrzebne, dla samej frajdy targowania się.

Rynek nie był jedynym zmartwieniem Urszuli. Dzielnica przez całe wieki żyła życiem wolnego miasta, w którym wszystko było tanie: i bimber, i kobiety, i śmierć. Bezpośrednie sąsiedztwo królewskiego grodu nie wpłynęło na obyczaje mieszkańców, i tak pozostało nawet po oficjalnym włączeniu

jej w krakowskie granice – robili, co chcieli. Mieszkańcy śródmieścia, o ile tylko mogli, nie zapuszczali się w jej uliczki, zwłaszcza po zmierzchu, gdy ulice przechodziły we władanie nocnych sokołów, ci z dzielnicy zaś nie znali świata innego poza swoim własnym. Urszuli przyszło więc żyć w dwu światach naraz: w barbarzyńskim sąsiedztwie i pośród wykwiutnych znajomych męża. Nie miała zdolności Maurycego, bo ten potrafił, i to natychmiast, dostosować się do każdego środowiska, i w końcu pogubiła się na amen. Któregoś ranka z okien salonu ujrzała zupełnie nagą kobietę, jeśli nie liczyć ogromnego kapelusza, idącą środkiem ulicy. Szła pośród okrzyków zachwytu i śmiechu, a nim nadbiegł żandarm, zniknęła gdzieś w płataninie podwórek. Nigdy nie ustalono, kim była i co owego dnia robiła na ulicy, Urszula zaś nawet po latach nie potrafiła sobie wyjaśnić, czy owo zdarzenie bardziej ją rozbawiło, czy jednak zdegustowało.

Wojna wywróciła świat do góry nogami, zabierając z dzielnicy żebraków, flisaków, Żydów, targ, a nawet kurewski biznes, dla którego zabrakło klienteli, poza tą garstką amatorów, którym było wszystko jedno. W niczym nie zmieniło to jednak ani przyzwyczajęń mieszkańców, ani ich niezależnego charakteru, o czym Maurycy wiedział najlepiej, legalizując niejako swoje zainteresowanie zbrodnią i ubierając je w togę ławnika w rejonowym sądzie karnym.

Wbrew prognozom telewizyjnych synoptyków, iż po pierwszej fali niespodziewanych kwietniowych upałów maj przyniesie nieco ochłody, słońce ani na trochę nie dawało wytchnienia. Urszula szła przez ulice w ciężkiej żalobie, zbyt ciepłej jak na aurę sukni, nic sobie nie robiąc z ciekawskich spojrzeń.

Na poczcie, która była jej pierwszym przystankiem we wdo-wiej wędrówce, wywołała małe zamieszanie, dyktując dwanaście jednobrzmiących telegramów o śmierci męża, odczytując z męzowskiego notesu adresy krewnych niewidzianych od lat, lecz z jakichś powodów przez niego niezapomnianych. Nie

zostawszy tam dłużej, niż było trzeba, ponownie zanurzyła się w słoneczną topiel, niemal ślepnąc od porażającego blasku i czując, jak pończochy przylepiają się jej do nóg. Od upału rozboleły ją głowa i kark, czuła, że łydki odmawiają jej posłuszeństwa, a stopy puchną w sztywnych trzewikach, i dałaby wszystko, by nie być sobą i móc te diabelskie buty zdjąć tu, na przystanku, na odrapanej ławeczce – i na oczach wszystkich. Przez chwilę miała ochotę skapitulować i resztę podróży odbyć tramwajem albo w ogóle wrócić do domu, ale opanowała się, starym dzieciennym sposobem zaciskając dłoń w pięść tak mocno, aż paznokcie wbiły jej się w skórę.

Biuro ogłoszeń, kolejny przystanek we wdowiej podróży, mieściło się na parterze pięciopiętrowej kamienicy, od ponad ćwierćwiecza zajmowanej przez redakcję najpopularniejszego lokalnego dziennika. Wbrew nadziejom, że wiekowe mury powstrzymają gorąco, biuro nie było wcale chłodniejsze, tak jakby kamienicę zbudowano nie z najprzedniejszych cegieł, ale z gliny i słomy.

– Świat się kończy – westchnęła Urszula.

Chłodząca się przenośnym wiatraczkiem panienka o oczach sarny poinformowała Urszulę, że godziny pracy właśnie się skończą i Urszula jest ostatnią tego dnia klientką.

– Dzięki Bogu – dodała, nadając swojej wypowiedzi ton lekkiej prośby, który Urszula całkowicie zignorowała. Rozsiadła się wygodnie na drewnianym krzeselku przed kontuarem: położyła torebkę na kolanach, zdjęła kapelusz, otarła twarz chusteczką i bez pośpiechu przejrzała wzory nekrologów, wybierając najokazalszy, z wierszem, dużym światłem, ramką, krzyżem i żałobną gałązką mirtu. Następnie, nie myląc się ani razu, podyktowała wszystkie zasługi i zaszczyty męża, uszeregowane według jej własnego klucza: nieodżałowany ojciec i dziadek, wspaniały brat, wielkiej dobroci człowiek, mistrz fryzjerstwa męskiego, właściciel renomowanego zakładu fryzjerskiego „Maurycy”, skarbnik Cechu Fryzjerów, wielbiciel teatru, miłośnik historii, członek honorowy Towarzystwa

Miłośników Historii i Zabytków Krakowa wreszcie, współautor podręcznika *Fryzjerstwo współczesne* i wieloletni uczestnik turnusów sanatoryjnych.

Panienska, oszołomiona bogactwem funkcji i zasług, rzuciła znad kontuaru zdziwione spojrzenie.

- To był wielki człowiek - powiedziała Urszula, a dowiedziawszy się, że nie ma zwyczaju, by publikować nekrologi na pierwszej stronie, po raz wtóry westchnęła: - Świat się kończy.

Kiedy wszystko było już ustalone, panienska wolno i z pewną czcią odczytała treść nekrologu, po czym zatrzymawszy się przy podpisie „Urszula”, dodała:

- Lepiej byłoby podpisać „żona”. Żeby wszyscy wiedzieli.

Urszula zebrała z kontuaru rękawiczki spokojnym gestem.

- Dzięki Bogu, całe miasto wie, że byłam tylko ja - odparła.

Była przekonana, że spędziła w biurze dość czasu, by żar ustąpił wreszcie miejsca chłodniejszemu zmierzchowi, kiedy jednak ponownie wyszła na plac, przywitało ją to samo otepiające słońce, stojące na godzinie szesnastej, a miasto chwaliły, w którym tak sumiennie przez czterdzieści lat i tylko dla Maurycego starała się zakorzenić, wydało się jej teraz przedsiönkiem piekła zafajdanym przez gołębie.

Wiadomość o śmierci Maurycego wyprzedziła Urszulę o kilka godzin i kiedy na ostatnich nogach dotarła wreszcie do zakładu fryzjerskiego „Maurycy”, ostatniego celu swojej pierwszej wdowiej podróży, zastała tam już żalobny nastrój i całkowity bezruch. Pracownicy poinformowali ją, że od kilku godzin próbowali skontaktować się z nią telefonicznie, a kiedy to nie dało rezultatu, pan Stach wysłał do mieszkania Opiłków praktykantkę, by osobiście sprawdziła, co się dzieje, ta zaś wróciła przed godziną z niczym.

- Baliśmy się, że stało się pani coś złego - powiedziało chude dziewczętko w za dużym fartuchu, które jak zrozumiała Urszula, było ową biedną praktykantką.

– A co gorszego mogłoby mi się jeszcze dzisiaj stać? – odparła Urszula.

Usiadła na wolnym krześle, przy drzwiach, starając się wyglądać godnie, i poprosiła o szklankę wody. Wyjaśniła:

– Przyszłam tylko po to, żeby powiedzieć, że do czasu pogrzebu musicie sobie radzić sami. Potem zobaczymy, co dalej.

Piła wodę małymi łykami, wpatrzona w wiszące nad fryzjerskimi lustrami zdjęcie męża z czasów, gdy jego czupryny nie skalala jeszcze żadna srebrna nitka, i w zupełnej ciszy, nikt bowiem z trzech fryzjerów i biednej praktykantki nie miał odwagi, by przerwać jej zamyślenie. W końcu przerwała je sama, prosząc pana Stacha, by poszedł z nią na zaplecze. Kiedy znaleźli się sami, starannie zamknęła drzwi kantorka i poważnie spojrzała mu w oczy.

– Wiem o lombardzie.

Rozejrzała się uważnie po pomieszczeniu, w którym za życia Maurycego nigdy nie była, notując w pamięci wąską umywalkę, wepchniętą między dwie szafy z fryzjerskimi akcesoriami, podniszczone tanie biurko, telefon, proste drewniane krzesło i lekki smród typowy dla ciasnych, pozbawionych okien klitek.

Pan Stach zareagował tak, jak przypuszczała: szczęka mu opadła.

Wyjaśniła więc, że już od dawna wie o ciemnych interesach męża, wykorzystującego salon do prowadzenia nielegalnego lombardu dla zaufanych klientów, ratujących domowe budżety szybkimi pożyczkami pod zastaw rodzinnych pamiątek.

Pan Stach stopniowo odzyskiwał równowagę.

– Maurycy nie chciał pani tym kłopotać – powiedział, choć nie wierzył w to kłamstwo.

Urszula nie widziała potrzeby, by dopuszczać go do swoich sekretów.

– A żona nie pyta męża, jak zarabia pieniądze – odparła.

Wyprawa zmęczyła Urszulę tak bardzo, że gdy wreszcie dotarła do domu, marzyła już tylko o tym, by zasnąć. Położyła się więc, tak jak stała, w przepoconej sukni, w butach, bo nie miała siły ich rozsznurować, zdejmując jedynie kapelusz i rzucając torebkę w ką. Przyszło jej do głowy, że dobre maniery to luksus nierobów, i rozgrzeszyła się. Nim zasnęła, pośród pierwszych majaków napłynęło nagle wspomnienie poślubnej nocy z Maurycem, od dawna już zapomniane. Przypomniała sobie hotelowy pokój w stolicy, lustro toaletki i siebie samą, zaskoczoną, bo ona, debiutantka, kierując się jedynie instynktem, miała w łóżku więcej do powiedzenia niż on, starszy i w tych sprawach już doświadczony.

Pogrzeb Maurycego Opilki odbył się pięć dni później, o godzinie jedenastej, w ziemi ofiarowanej miastu przez bogobojną parę spolonizowanych Niemców na potrzeby cmentarza, który szybko miał się stać nekropolią dla najwybitniejszych obywateli.

Pogrzeb był taki, jaki Maurycy mógł sobie wymarzyć.

Naliczono piętnaście wieńców, które w zupełności wystarczyły, by szczerlnie pokryć nagrobek, a skromniejsze wiązanki z goździków i gerber musiano układać już na ścieżce i sąsiednich grobach. W kondukcje żałobnym szło blisko trzysta osób, rozciągniętych w pochodzie zdającym się nie mieć końca i pogrążonych w żałobnej ciszy. Urszula zadbała, by nie zabrakło nikogo, kogo Maurycy chciałby widzieć, ostatnie dni poświęcając na ręczne wypisywanie zawiadomień o pogrzebie i rozesłanie ich do bardziej znamienitych obywateli, tak by adresaci czuli się w obowiązku stawić na cmentarzu. I przyszli, uświetniając kondukt swymi urzędniczymi godnościami i nazwiskami znanymi z podręczników historii, dodając splendoru temu, który pracował na niego całe życie – Maurycemu Opilce.

Urszula również była zadowolona z ceremonii, choć nie uszedł jej uwadze pewien zgrzyt: ksiądz, zasłuchany we własne słowa, dał się ponieść krasomówczym fantazjom i godziny było mu mało, by należycie przedstawić zasługi zmarłego. Znużył nawet najwytrwalszych. Najgorsze miało jednak nadejść, bo gdy uporał się ze społecznym dorobkiem Maurycego Opilki i gdy przedstawił już własną wizję miasta, tak przez nieboszczyka ukochanego, przeszedł wreszcie do omówienia cnót zmarłego, za największą uznając skromność, choć ci ze zgromadzonych, którzy wiedzieli o lombardzie, nazwaliby ją raczej dyskrecją pośrednika. Ale im więcej mówił o wrodzonej skromności Maurycego, im bardziej rozwodził się nad jego chrześcijańską pokorą, tym większe narastało skonsternowanie: oto nagrobek Maurycego, postawiony przez niego w tajemnicy i dziś dopiero ujawniony światu, stał w tak jawnej sprzeczności ze słowami księdza, że jedni zaczęli posądzać go o prowokację, drudzy zaś nie mogli opanować śmiechu.

Kipiał od ozdób. Przywodził na myśl raczej stół biesiadny z wielkimi złotymi literami, składającymi się na imiona Urszuli i Maurycego, bez dat śmierci, za to od razu z prośbą o modlitwę. Obok znajdowały się dwa reliefy przedstawiające małżonków uchwyconych w półprofilu i patrzących na siebie bez trwogi. Na każdym z rogów nagrobka stały zamocowane ogromne wazony, gotowe na imperialne bukiety, bo tylko takie nie wydawałyby się w nich sierocym wiechciem, z kolei front ledwie mieścił ogromny napis: – Grobowiec rodziny Opilków – złożony z mosiężnych liter, właściwych raczej pomnikom. Całość nie pozostawiała wątpliwości co do intencji fundatora: w nosie miał wspominki żałobników, ocenę własnego żywota zostawiając samemu sobie.

Tak zresztą było. Maurycy postawił nagrobek osiem lat wcześniej, kierując się bardziej przezornością niż chrześci-

jańską pokorą, w czasach, gdy dawni włodarze miasta, wyzbywszy się kolejno księgozbiorów, mebli, stołowych zastaw, obrazów i oleodruków, poczęli wystawiać na sprzedaż resztki z resztek dawnej świetności, na jakie niespodziewanie pojawił się popyt: miejsca w rodzinnych grobowcach.

Maurycy dość już wówczas przeżył, by wiedzieć, że życie, takie, jakie jest, rzadko nadaje się na czytanki dla pensjonarek. W istocie nie było takich dóbr, w przepływie których dyskretnie i bez zbędnego moralizowania by przez te wszystkie lata nie uczestniczył, pozwalając za zwyczajowe dziesięć procent biżuterii, antykom, papierośnicom, portretom zmieniać właścicieli, miał też na koncie jedno, ale za to spektakularne oszustwo, i nader dobrze poznał grzechy tego miasta. Ale nawet jemu kupowanie miejsca w cudzych grobach wydało się niesmaczne. Choć pierwszym uczuciem był gniew, zaraz pojawiła się trzeźwa myśl, że zanim się obejrzy, zabraknie już ziemi, on zaś, on właśnie, wyląduje na zapomnianym cmentarzu dla ubogich, gdzieś na jakimś zadupiu. Wówczas to wykupił miejsce w poświęconej ziemi, nie bez drobnego bezprawia i za astronomiczną sumę, kierując się jedynie urokiem kasztanowców i dogodnym położeniem kwatery: w samym sercu cmentarza.

Wystarczyła mu jedna wizyta u kamieniarza, by wybrać i obstałowić wszystkie elementy nagrobka, zrazu prostego i nierzucającego się w oczy, bo jedynym zbytkownym elementem był sam materiał: czarny granit. Ale gniew, z którym przystępował do tego zadania, ulotnił się, i to tak szybko, że Maurycy nie był w stanie powiedzieć, kiedy wizyty w zakładzie kamieniarskim zaczęły sprawiać mu prawdziwą przyjemność. Pojawiał się tam najpierw z konieczności, potem już tylko z potrzeby serca, za każdym razem – w miarę jak rosła w nim duma z własnego życia – dodając do pierwotnego projektu coraz to nowe ozdobniki. W ostatniej chwili odrzucił pomysł skromnej tablicy, wybierając okazalszą, z motywem pochylonego drzewa, a gdy kamieniarz, sam urzeczony prze-

pychem nagrobka, powiedział: „Wyciśnie łyzy lepiej niż ksiądz”, i uznał, że osiągnął, co zamierzał.

I tak się stało. Grobowiec długo jeszcze po pogrzebie Maurycego stanowił temat gorących rozmów, często ludzi, którzy w ogóle nie słyszeli o Maurycym, znali zaś tylko jego nagrobek. Stał się on celem swoistych pielgrzymek, odbywanych bez jednej lampki, a jedynie po to, by podpatrzeć co ciekawsze elementy, aż wreszcie na cmentarzach w całym mieście zaroilo się od mniej lub bardziej udanych replik.

Jedyną osobą, której nie zaskoczył przepych grobowca, była Urszula. Ona jedna nie tylko o nim wiedziała, i to niemal od samego początku, ale przynajmniej raz w roku go odwiedzała. Stało się bowiem tak, że Maurycy, obejrawszy ukończone dzieło, złapał się na myśli, że przez ten cały czas, gdy z taką radością dawał świadectwo swoim własnym życiowym sukcesom, ani razu nie pomyślał o Urszuli. I utonawszy w wyrzutach sumienia, że zapomniał o kobiecie, która od trzydziestu lat stoi u jego boku, postanowił ofiarować grobowiec właśnie jej.

W przeddzień trzydziestej rocznicy ślubu, uciekając się do dziecięcych podstępów, tyleż zabawnych, co niepotrzebnych, bowiem Urszula ani razu nie zapytała o powód i cel spaceru, przyprowadził żonę na cmentarz i pokazawszy nagrobek, powiedział:

– To prezent na nasze trzydziestolecie. Dla ciebie.

W pierwszej chwili Urszula poczuła się zażenowana, ale szybko odnalazła bezpieczną ścieżkę, ścieżkę doskonałej żony. Była jednocześnie zdumiona i zachwycona nie tylko urodą nagrobka, ale i samym pomysłem, kazała sobie wielokrotnie powtórzyć całą historię od początku, uzasadniać poszczególne decyzje, i nawet podczas kolacji nie mogła wyjść z podziwu nad zdobioną motywem żałobnych lilii ławeczką. Przez kolejne lata z perwersyjną radością poddawała się torturze odwiedzania własnego grobu w Święto Zmarłych, których to wizyt nie przerwali nawet po tym, jak za któryms

razem odkryli, że czyjaś nieuważna ręka postawiła na grobowcu żałobny znicz.

– Bóg nie daje tak oczywistych znaków – powiedział Maurycy. – Jeśli już, należy go rozumieć odwrotnie. Czeka nas długie życie.

Z biegiem lat grobowiec tak bardzo zrósł się z ich codziennością, przypomniany przez Urszulę i w czasie niedzielnych obiadów, i podczas spacerów, że wreszcie oboje nie mogli sobie wyobrazić, o czym rozmawiali w czasach, gdy go nie było.

Nic więcej nie zakłóciło ceremonii. Urszula przetrwała pogrzeb wsparta na ramieniu syna, który zgodnie z ustaleniami przyjechał dopiero w dniu pogrzebu, rannym pociągiem, z żoną i przejętymi sytuacją córkami, z których starsza nie ukończyła jeszcze dwunastu lat. Był niski, szeroki, zbity jak gruda ziemi, z węzłami żył widocznych pod skórą i tak niepodobny do Maurycygo, że nikt nie miał wątpliwości, że to musi być jego syn. Kiedy spuszczone trumnę, Urszula jako pierwsza położyła na niej kwiat, białą kalie, i pożegnała się z Maurycym tak, by ci stojący najbliżej usłyszeli jej słowa: „Kochałam cię”.

Stypa nie miała już nic z przepychu pogrzebu. Urszula przygotowała w domu skromny obiad i zaprosiła nań jedynie tych, z którymi Maurycy związany był supłami krwi. Mimo telegramów wysłanych sumiennie do wszystkich żyjących krewnych Maurycygo, dalszych i bliższych, na pogrzeb przyjechali nieliczni: dwie starsze siostry, ostatnie, jakie pozostały przy życiu z siedmiorga rodzeństwa Maurycygo, i dwóch synów jego najstarszego brata, z matką, ale bez dzieci i wnuków, tak że wbrew obawom Urszuli nie trzeba było pożyczyc od sąsiadów krzesel, by usadzić gości przy stole. Wieczorem pozostali z nią już tylko najbliżsi, syn z rodziną, ale i oni mieli wyjechać rankiem następnego dnia. Urszula o niczym nie marzyła bardziej, niż zostać sama ze sobą. Nie chciała skorzystać

z propozycji Jerzyka i pojechać wraz z nim, do jego domu, w podróż pocieszenia, i nie zgodziła się, by on, wzięwszy kilka dni urlopu, przyjechał do niej. Kiedy synowa spytała, jak sobie teraz będzie radzić, zezłościła się i odparła ostrzej, niż chciała:

– Krakowskie żony od dnia ślubu uczą się, jak być wdowami.

Nikt nie zrozumiał, co miała na myśli, Urszula zaś zawstydziała się swego gniewu. Kiedy Jerzyk spytał, co będzie teraz robiła, odpowiedziała już spokojnie:

– Nic. Nic nowego – i dodała: – To, co zawsze.

Poprosiła Boga, by wybaczył jej to kłamstwo, świadoma, że gdy minie rok i sześć tygodni żałoby, zaczną się najdziwniejsze lata jej życia. Nie potrafiła ich sobie wyobrazić, ale jedno było pewne: po trwającej siedem dni małżeńskiej wojnie i po tym, co jeszcze zrobi, Maurycy nie wpuści jej już do swojego nieba.

Bo zemsta, którą mu zapowiedziała, właśnie stawała się ciałem.